

Adam Wlaryga-Minieski

## MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich

31

— Ta przeklęta Fidlerzyca — skarżyła się nieraz Józia — to mnie zawsze pyta akurat wtedy, kiedy ja się nie przygotowuję i tylko o to, czego zapomniałam. Żebym dziesięć razy lekcję umiała, to ona mnie zapyta dopiero jedenasty raz, jak się zapomnę nauczyć. I żebym minutkę nie uważała, oho, ona już widzi, choćby była obrócona do tablicy. Doprawdy, ja nie wiem, czy ona ma z tyłu oczy, czy co?

— Ona ciebie nie cierpi — mówiły koleżanki.

— To wiem, ale dlaczego właściwie?

Tosia pochylała się do ucha przyjaciółki i szeptała jej z filuternym uśmiechem:

— Ona jest zła, że Kotwicz do ciebie.. Uważasz, jakie Fidlerzyca sypie „oko“ do niego... Tak jej właśnie z tem do twarzy, jak psu w prześcieradle... Bazyliszek!

— Iii... Tośka, dajże spokój! Nie opowiadaj głupstw — odpowiadała Józia, ale uśmiechała się z zadowoleniem. Bardzo jej pochlebiało przypuszczenie, że niechęć nauczycielki ku niej ma źródło w zazdrości o przystojnego nauczyciela literatury polskiej, w którym kochała się połowa klasy.

Podszepty Tosi i innych koleżanek rozchwały Józję, to też patrzyła śmiało i drwiąco trochę nauczycielce w oczy, kiedy ta zaczynała swoje.

— Maliniewiczówna znowu nie umie lekcji. Naturalnie nie było czasu nauczyć się, bo trzeba chodzić na spacer z studentami... Maliniewiczówna zrobiłaby najlepiej, gdyby nas przestała zaszczycać swoją obecnością.

Czasem nawet rozdrażnionej dziewczynce wyrwała się jakaś harda odpowiedź, która zwykle pociągała za sobą niepoehlebną uwagę w katalogu klasy i następnie obniżenie noty „z obyczajów“.

Po awanturze z Jurkiem, Fidlerówna starała się usilnie, aby Józję usunąć ze szkoły, ale dyrektorka, która bardzo lubiła ładną i przymilną dziewczeczkę, nie dopuściła do tego.

Później przyszła wojna, Józia przerwała naukę i już do szkoły nie powróciła.

Teraz po raz pierwszy od lat trzech zobaczyła nauczycielkę. No, Fidlerzyca nie zmieniła się zupełnie, taki sam z niej bazyliszek! Ale za to ona, Józia, jest już dorosłą i mężatką i nic sobie nie robi z Fidlerzycy.

Dlatego też kłania się jej uprzejmie i słodki tonem woła:

— Dzień dobry pan!

Podniosła przymrużoną rękę niby do bluzki i tak nią manewrowała przed samym prawie nosem starej panny, aby ta koniecznie, ale to koniecznie musiała zobaczyć jej ślubną obrączkę.

Fidlerówna przymrużyła oczy (miała bardzo krótki wzrok, a na ulicy szkieł nie używała) i przez chwilę wpatrzyła się w młodą kobietę. Poznała ją widocznie, bo skinęła głową, wprawdzie tak lekko, że przypominało to przysłowiowe „kiwnięcie nosem“ i zamruczała coś niewyraźnie.

Mijając młodą mężatkę, takim zgorszonym, surowym wzrokiem obrzuciła jej przejrystą, wyciętą bluzkę, o ażurowym karczku, jakby już miała zawołać swoim skrzeczącym głosem:

— Maliniewiczówna znowu nosi ażurowe bluzki! Czy Maliniewiczówna nie wie, że to nieprzyzwoicie?

Józia uśmiechnęła się, ale uśmiech zamarł prędko, bo przyszło jej na myśl, że jednak Fidlerzyca z całą swoją surowością nie budziła w niej tego strachu, co mama Żarnicka. Nawet porównać tego nie było można.

— Tak, bo to było zupełnie co innego. To była tylko nauczycielka, a to jest świekra. Tamta była nieznośna, skrzekliwa, pedantka, a ta mnie nienawidzi. Fidlerzyca mogła mi dać złą notę, a ta może mi zniszczyć szczęście.

Pogrążona w niewesołych myślach. Józia nie spostrzegła zrazu, że ściga ku sobie spojrzenia mężczyzn, że ten i ów ogląda się za nią.

Drgnęła dopiero, kiedy jakiś oficer zajrzał jej zuchwale pod kapelusz. Odrzuciła głowę i spojrzała na prosięco-różową twarz, z beznamiętnością, jakby z niebieskiej emalii oczami.

Oficer założył monokl na oko i zwracając się do towarzysza zawołał po niemiecku, wiedeńskim akcentem:

— A, Prachtmädel!

Józia wyduła pogardliwie usta.

— Szwaby!

Przyspieszyła kroku, nie oglądając się po za siebie. Skłamałaby jednak, gdyby powiedziała, że jej ten niewybredny hołd sprawił przykrość. Na policzki wystąpiły jej delikatne rumieńce, oczy migotały iskrami, purpurowe wargi rozchyliły się nieco w lekkim uśmiechu, odsłaniając zęby równe, drobne, białe i ostre, jak u drapieżnego zwierzątka.

Widziała już teraz, że mężczyźni patrzą na nią, że nawet niektóre kobiety obrzucają ją wejrzeniami, jedne z życzliwym upodobaniem, inne z błyskiem zazdrości w oczach.

Bawiło to Józję i budziło w niej uczucie miłego, lekkiego podniecenia.

— A niech się patrzy! Dobrze jest być młodą, ładną i podobać się! Dzień taki piękny, słońce takie gorące, planty takie zielone i wesołe, że smutne myśli pierzchają za dziesiątą granicę!

Józia zapomina o swojej powadze mężatki i omal nie śmieje się do każdego przechodnia, rozweselona, śliczna, z błyszczącymi łobuzersko oczyma.

Zbliżała się do wylotu plant i ulicy Szewskiej, kiedy zauważyła, że od chwili idzie za nią krok w krok jakiś młody mężczyzna. Nie zaczął, nie odzywał się, ale szedł.

— A niech sobie idzie! — pomyślała Józia — jeżeli nie ma nic lepszego do roboty.

Na rogu Szewskiej przystanęła, wahając się, czy ma iść dalej plantami, czy skierować się ku rynkowi.

Mężczyzna przystanął także. Józia mimowoli odwróciła głowę i spojrzała na niego.

— Ależ on podobny do Konrada — mignęła jej myśl. — Szczególnie oczy.

Tak uderzyło ją to podobieństwo, że bez ceremonii przypatrywała się uważnie smagłej twarzy nieznajomego. Był to brunet bardzo przystojny i Żarnickiego przypominał nie tyle rysami, ile wyrazem całej fizyognomii, oraz głębokiem, magnetycznym wejrzeniem.

Młody człowiek postąpił kilka kroków bliżej. Oczy mu błysnęły. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć.

Józia zmieszana się nagle. Zapóźno opatrzyła się, że nieznajomy brunet może sobie jej nadto śmiało spojrzenie wytłómaczyć opacznie.

Odwróciła się i zaczęła iść szybko. Przechodząc koło drogueryi, przypominała sobie jakiś drobny sprawunek i wstąpiła. Kiedy po kilku minutach wyszła ze sklepu, zobaczyła owego bruneta, stojącego w pewnym oddaleniu. Czekał widocznie.

Młoda mężatka przeszła na drugą stronę ulicy. Powoli, nie spiesząc się, prześladowca zrobił to samo.

Józia była trochę poirytowana, więcej zmieszana, a daleko więcej rozbawiona tą niemią asystą.

— Żeby się odezwał, powiedziała bym mu, że no!... Ale jeżeli nic nie mówi, cóż mu mogę zrobić? Ulica jest przecież dla wszystkich.

W tej chwili myśl jej odbiegła od bruneta, bo wzrok olśniony zatrzymał się na przepysznym urządzonym wystawie kwaciarni.

Zachwycona przystanęła przed wystawową szybą, sycąc oczyma bogactwem róż białych, wielkich, pełnolistnych i innych różowo kremowych, niezupełnie rozwiniętych jeszcze, wysmukłych, z kropkami wody na płatkach. Umiejętna ręka malowniczo rozłożyła i pomieszała te dwa rodzaje róż i przystroiła delikatnymi gałązkami zieleni.

Ciemno-purpurowe róże, prawie że czarne gwoździki wychylały się z flakonów, gorącą barwą swoją uwydatniając łagodną piękność sąsiadów swoich, precudnie stonowanych irysów.

Józia nie mogła oderwać oczu od tego przepychu kwietnego. Szczególnie róże ją zachwyciły.

Wesichnęła... Gdyby to można kupić choć kilka tych przepięknych kwiatów. Ale o tem nie podobna marzyć nawet przy takim stanie kasy.

Pogrążona w cichym zachwycie, nie spostrzegła, że nieznajomy brunet przesunął się obok niej i wszedł do kwaciarni.

Przez chwilę stała tak jeszcze, wreszcie zwróciła się i zaczęła iść dalej, unosząc z sobą

marzenie o piękności róż i tęsknotę niezaspo-kojonego pragnienia.

Zadumana, machinalnie a zrećźnie wymijała przechodniów.

Z zamyślenia zbudził ją przeraźliwy, świdrujący w uszach wrzask:

— Kuryer świeży na jutro! Moskale uciekają z Galicyi!

Wrzask przycichł i przechodził w jakieś przeciągłe śpiewanie.

— Moskaale uciekają z Galicyi! „Kuryer“ bardzo ciekaawyl!

— Mały, tu!

— Dawaj „Kuryera“!

Gazety, ku wielkiemu zadowoleniu małego, zasmolonego kolportera, rozchwytywano. Sensacyjne wiadomości z pola walki, pomimo trzechlelniego trwania wojny, ciągle jeszcze elektryzowały ludzi.

I Józia zapragnęła przeczytać „Kuryera“. Obejrzała się za sprzedającym chłopcem.

— Daj „Kuryerka“ chłopczel — zawołała, sęgając do torebki.

Kolporter podbiegł ku niej i nagle czarne, żywe, przebiegłe oczy chłopca zaśmiały się radością:

— To paniusia!... A to ci „fajda“... A my się już chyba z kopę lat nie widzieli!... Bierz paniusia „Kuryerka“! Ciepły jeszcze!

Józia nie zgorszyła się bynajmniej tem poufałym przywitaniem. Przeciwnie, sprawiło jej to przyjemność, że Felek Balon w tak wdzięcznej zachował ją pamięci.

Uśmiechnęła się przyjacielsko i biorąc gazetę z haniebnie brudnych rąk chłopca, zagadnęła wesoło:

— Felek, toś ty ciągle taki brudny? Jeszcze się nie umył? Wstydź się, taki duży chłopak!

— Jak się mam myć, kiedy teraz mydło na kartki i wody niema, bo właśnie „ruła“ od wodociągu pękła! Deje paniusia jeszcze centa, to wydam pięć!

Podczas gdy Józia szukała owego centa, przycwałował ku niej mały człowieczek, który wyglądał jak miniaturowa Felka. W spoconej piastce trzymał kilka zmniętoszonych, przywiedłych róż.

— Paniusiu, kup paniusia! róże — zapiszczał.

— Nie, nie kupię.

— To daj mi paniusia centa!

— Cicho bądź! Odczep się raku, bo ta pani to moja znajoma! — ofuknął Felek i zwracając się do Józji, wyjaśnił:

— To jest mój brat, ale on jeszcze bardzo głupi.

— A ty jesteś mądry, co?

— A pewnie, że człowiek „kiepele“ nie od parady nosi! Zaden nie umie tak krzyczeć, jak ja! Jużem dzisiaj koronę zarobił na Kuryerach!...

— A kwiatów już nie sprzedajesz?

— Nie, to tera żaden interes... Przerzuciłem się całkiem w gazetyl...

— No, bądź zdrów, Felek!...

— Kłaniam się paniusi!...

— Felek, Felek!... — wzywał go jakiś towarzysz — Chodźno tu, ten pan cię woła...

Zaledwie Józia poszła kilkadziesiąt kroków, posłyszała znowu za sobą tupot bosych nóg i cieniły głos Felka:

— Paniusiu, a czeka no paniusia!...

Obejrzała się i ze zaimieniem zobaczyła, że Felek podaje jej wiązanek róż związanych srebrną nitką, tych samych, różowo kremowych róż, które tak podziwiała za szybą kwaciarni...

— To dla paniusi!...

Nie wyciągnęła ręki, nie rozumiejąc, co to znaczy.

— Coś ty Felek!...

Chłopiec zanurzył filuternie oczami.

— Bierżże paniusia, kiedy mówił O! Jak pachnie!...

Zanurzył koniec usmolonego nosa w delikatnych, aksamiennych płatkach.

— „Fajne“ kwiaty! Ładny „pieniądz“ wart! Masz paniusia!...

Rzucił jej róże na ręce i uciekł. Ściskając pod pachą kilka nierozsprzedanych jeszcze gazet.

Józia zdumiona obracała w ręku wiązanek. Skąd te róże? Od kogo?

Mimowoli obróciła głowę i skierowała wzrok w stronę kwaciarni, jakby tam szukając rozwiązania zagadki.

Przed sklepem stał brunet, który szedł po przednio za nią i z obojętną miną zapalał pa-